Nr. 47. Lwów, Sobota dnia 20. Listopada 1875. Rok VII.

SZCZUTEK

Szczutek wychodzi od roku 1869 co Niedzielę.
Prenumerata zamiejscowa z przesyłką pocztową kosztuje całorocznie 10 złr., półrocznie 5 złr., ćwierćrocznie 2 złr. 50 ct., miesięcznie 85 ct.
W Wielkiem księztwie Poznańskiem 5 talarów.
We Francji, Szwajcarji i Włoszech całorocznie 21 franków.
Prenumerować można w redakcji „Szczutka“ przy ulicy Sobieskiego, gdzie sklep Jürgensa, pod liczbą 4 I. piętro; we wszystkich księgarniach i ajenzjach dzienników i we wszystkich urzędach pocztowych.
Reklamacje nie opłacają się.
Listy przyjmują się tylko opłacone.
Manuskrypta nie zwracają się.



Prenumerata we Lwowie kosztuje z przesyłką pocztą miejscową do domu całorocznie 10 złr., półrocznie 5 złr., ćwierćrocznie 2 złr. 50 ct., miesięcznie 85 centów.
Numer pojedyńczy kosztuje 20 ct.
Dodatek zawiera łamigłówki, szarady, zadania szachowe i inseraty.
Inseraty drukują się za opłatą 6 ct. od wiersza drobnym drukiem w jednej szpalcie. Stronica inseratowa zawiera cztery szpalty.
Inseraty przyjmuje: Administracja Szczutka; drukarnia K. Pillera; Ajencja W. Piątkowskiego przy placu katedralnym.
W Wiedniu: Ajencje Haasensteina Vogel. — W Berlinie: Rudolf Moose.

PISMO SATYRYCZNO-POLITYCZNE.

Do posła Czerkawskiego.

Jakby omdlały leżał lew ulicy,
Leżał — było mu nudno —
Choć go kopali osły-przeciwnicy,
Podnieść się było mu trudno.
Dopiero dzisiaj strząsł ośle kopyta,
I rozgniewany za pochodnię chwyta,
Dzisiaj, gdyś ty „Im“ dobrze natarł uszu,
Nasz Euzebiuszu!

*

Gdy się głęboko żar w popiele schowa,
Skorupa ducha ochłódnie,
Dość jej jednego ognistego słowa,
A tryśnie ogniem przecudnie.
Takiego słowa dawnośmy czekali,
Takiego słowa do „Nich“ tam na sali,
Gdzieś Ty „Ich“ gromił, pełen animuszu,
Nasz Euzebiuszu!

*

Jeśli kto nie wie, co się dalej czyni,
Gdy takie słowo raz padnie,
Ten niechaj siebie. a nie ludność wini,
I jej ufności nie kradnie.
Więc gdy koledzy Cię nie zrozumieli
I chcą tam siedzieć, gdzie dotąd siedzieli—
Rozumne słówko szepnij im do uszu,
Nasz Euzebiuszu!

Telegram z Wiednia.

Rozżarci groźną podnieśli dłoń
I gniewni wyszli ze sali,
Aż „na kurytarz“ wyszli — „na sień“, —
Byliby poszli i dalej!

Byliby poszli, aż tam gdzie „Hier!“
Na czarnej tablicy błyska,
By pozajmować na miejscu tam
Odporne (hem) stanowiska!

Lecz gdy tam przyszli, zastali drzwi
Z wnętrza na haczyk zamknięte —
To stanowisko odporne — już
Było — niestety! — zajęte!

Minister-rodak w miejscu tem był,
Jak czarny żuraw na czacie,
Galicjo luba, nie bój się nie —
On zbawi nam sytuację!

Z Wiednia nadesłano nam znaleziony na kurytarzu rady wiedeńskiej manuskrypt, który podajemy w treści niezmienionej. Są domysły, że zgubiony został przez jednego z konsyljarzy z partji Juzyczyńskich:

Quittung

über 25 fl. sage fünfundzwanzig Gulden Oesterreich. Währung, welche der gefertigte in tiefstem Servilismus ersterbende k. k. Knecht ruthenischer Stutzung an Blamage-Pauschale für seine gegen die Polacken ausgewieherte Rede aus dem Dispositionsfond unter Loyalitaetszuckungen baar und richtig erhalten hat, womit er aus den Uiberresten seiner Ehre schmerzlos quittiret.

Podpis nieczytelny.

Na lwowskim bruku.

— Odbyłeś już w teatrze podróż na około świata.
— Oj, odbyłem i to ciężko!
— A to dla czego?
— Wyobraź sobie, podróż trwa zaledwie dwie godziny, a pływanie po czarnem morzu jeszcze czarniejszej melancholji między aktami cztery godziny.

Rozmowa Gogątek.



— Ty! czy byłeś na fakelcugu dla Czerkawskiego?
— Ja na takie rzeczy nie chodzę, mój takt polityczny nie pozwala na to.

Wielmożny pan Kalasanty.

Herbu „Dobrynos"



— Dobroduszny mój Galicjanin, ów polityk lwowski, co od czasu do czasu ciężko politykuje, doznał biedak strasznego zawodu.

Nagadali mu tyle o bezwzględnej ufności, że nareszcie rozpoczął bezwzględnie ufać — i nawet, jak sam powiedział, postawił na loterji extrakto primo loco urzędowe **25** — i przegrał, na loterji wyszła **7.** znana żydowska liczba — a dobroduszny mój Galicjanin stanął przed wyrocznią szczęścia jak fizyk.

Biedak przegrał stawkę i program, a świdrując palcem swą łysinę, szuka nowych programów.

Był czas, kiedy mu kazali marzyć, iż jedynie zbawienną polityką jest brać po odrobinie od rządu, co się uda — nie stawiając żadnych pretensji od siebie i nie robiąc nawet miny cierpkiej.

I przez kilka razy obdarzono go okruszkami — a w dobroduszności swej poczciwina cieszył się i wołał: „Nigdzie mi lepiej nie będzie."

Naraz przestano rzucać ze stołu pańskiego okruszki.

Dobroduszny Galicjanin zgłupiał, długo stał żebrząc z pokorną miną — i lata całe minęły, a zgłodniałemu nie rzucono nic.

Więc program „odrobinkowy" upadł, ale polityk mój fantazji nie stracił.

Z filuterją wrodzoną czasem dobrodusznym, wymyślał nowy program i powiedział: „Właściwie mam już dość — trzeba teraz pilnować się, aby nie odebrali tego, co dali."

I jak lwica bronił okruszyny uzbierane, a dla skuteczniejszej strony, wysłał mężów swoich do Wiednia i wołał: „Brońcie tego, co macie, a nie żądajcie nic więcej."

A tak broniąc zasnął — a obudziwszy się zobaczył, że okruszyny znikły. Pokazało się, że utonęły w tej kieszeni, w którą włożył całą swą ufność.

Więc program „odporny" upadł. I już myślał świat, że dobroduszny Galicjanin zostanie bez programu...

Gdzie tam!... wynalazł — oto powiedział sobie: Dobrze, że więcej nie zabrali — zawsze to łaska z ich strony — więc wypiszmy na sztandarze naszym: „Bezwzględna ufność i wdzięczność za to, że nie wzięto wszystkiego".

Przyznacie, że dobroduszny mój Galicjanin ma pewną loikę i trzeba tylko takiego dziwaka, jak ja stary, aby się z tem nie zgadzać — a co gorsza, upatrywać w tem głupotę i nędzny serwilizm.

Szczęście przynajmniej, że dziwaków nie wiele na tym świecie.

Dixi.

Baczność narodzie!

Choć groźne chmury zewsząd się podnoszą,
Prusy Europę chciałyby rozbroić,
Ich pisma pokój niezmącony głoszą —
Aby ich kanclerz mógł tem śmielej broić,
Obfity połów chwytać w mętnej wodzie,
Baczność narodzie!

Ciągle się wzajem odwiedzają cary,
Całują w usta, zażegnują wojny,
Wzmacniają przyjaźń i łagodzą swary,
Aby tem lepiej zwodzić lud spokojny.
Bo dziś z nich żaden nie myśli o zgodzie,
Baczność narodzie!

Kto podstępniejszy — ten też więcej zyska,
Niktby na pozór nie przypuszczał zdrady,
A tu wojenne już płoną ogniska —
I kiedy cary siądą do biesiady,
Ty będziesz jęczał o chlebie i wodzie —
Baczność narodzie!

F E J L E T O N.

ŻÓŁTE PIEŚNI.

VII.

Tajny sąd.

Tej nocy okropny nawidził mię sen!
Czyż kiedy go w życiu zapomnę?!
Do mego podstrysza, — gdy nocna drży cisza
Wstąpiły dwa draby ogromne!..

W złocistej liberji, dwa chłopy jak gmach,
Widocznie pajuki to pańskie —
Nim w gardle mem strach zawołać mógł — Ach!
Chwycili mnie w łapy szatańskie!

Gdzie wiedli? — jak wiedli? W około był mrok.
Czy długo?... i kędy stanęli?
Tu milczy snu tok... Lecz nagle mój wzrok
W stu świateł utonął topieli!...

W złocistym salonie, pachnącym jak sad,
Lśnił orszak dziew bladolicy,
I panów jak grad!.. i matron huf siadł
Na kanap szanownej stolicy.

Nad gronem tem ciszy straszliwej zwisł głaz,
Że muchy usłyszałbyś lot...
Duch we mnie już gasł... Wtem podniósł się wraz
Pan jeden, — gładziutki jak kot...

I wyrzekł:
— Sędziowie! — Przestępca, ot ten
Zamienił Poezję — ten listek
Liljowy... kwiat ten... obłoczny ów sen...
W najdzikszą z petroleistek!

— Jej usty spowiada swą rozpacz i szał
Lub tłumu rozpacze i szały,
Co mówię!.. On śmiał!... gwałt duchów i ciał,
Bez listka przedstawiać — zuchwały!

— Miast szeptów łagodnych on wkłada w jej w płuca
Złowróżbnych, spętanych ryk sił...
Marzenia osmuca, trawienie zakłóca...
Jak gdyby sumieniem nam był!

— Dość na tem!.. Sędziowie, podnieście ramiona
Przestępstwo już doszło swej miary!..
Moc wasza tajona, niech pomsty dokona,
Domagam się sądu i kary!.. —

Zakończył... i naraz ze wszystkich ust bije
Straszliwy, ponury krzyk: — Biada!! —
W powietrzu się wije i syczy jak żmije...
I w nocnej pomroce przepada...

A z dźwiękiem ostatnim tej groźby straszliwej
W bezbronne, otwarte me łono
Sto tonie paznokci, sztyletów sto łokci
I szpilek!.. nie zliczę już pono!..

. . . .

W tem miejscu służący mnie budzi, jak zwykł,
A ja mu się ciskam na szyję!..
I myślał żem bzik, z ust słysząc mych krzyk
— O, Janku! Ja żyję... ja żyję!...

O.



(Z albumu „Szczutka“.) Portrety ze świata literackiego.

Władysław Koziebrodzki przed kilku laty „zadał niemałego szyku“ naszym *quand même*, czerwono demokratycznym dramaturgom, napisał bowiem dramat, w którym bohater - hrabia śmiał mieć serce i charakter czysty. Byłoto urazą dla szkoły której dogmatem: że na scenie „baron“ musi być śmiesznym, „hrabia“ złym i przewrotnym, a „książę“ najczarniejszym duchem. Toż debiut pana Władysława okrzyczano jako niefortunny — i młodego autora pokłuły wszystkie szpilki recenzenckie, na całej ówczesnej linji dziennikarskiej. Ale, że człowiek wiele wytrzymać może, jeżeli chce, więc i nasz delikwent przeżył jakoś tę burzę i od tego czasu dał nam cały szereg ładnych acz drobniutkich komedyjek, a właściwie zręcznie dyalogowanych nowelek. Publiczność przyjmuje je bardzo dobrze, a oklaski dla autora nie pochodzą tylko z lóż, obsadzonych ciociami i kuzynkami, jak to się zwykle dzieje na przedstawieniach hrabio - komedjopisarzy.

Publiczność teatralna zawyrokowała, „że w panu K. rośnie dla sceny pociecha“ i żyje w tej miłej nadziei, — i czeka. Wyrok taki jest nie małą zachętą, a autor któremu się taki wyrok dostał w udziale, winien się strzedz podstępu, jakiego użył p. K., kiedy dał nam pod pseudonimem Estoradzkiego — farsę; zamiast nad farsą i nad doborem pseudonimu winien myśleć raczej nad tem, by jak najprędzej stać się godnym wyroku publiczności, która nie szafuje zbytnie sympatjami i umie cofać wyroki prędzej niż je wydaje. Autor „hr. Marjana,“ „W Jesieni“ i „Po ślubie“ niechaj dla swego i naszego dobra, unika autora „Postępowych swatów“ — choćby dla poparcia przysłowia: *Ne misceantur sacra profanis*.

Imci pan Onufry.



— Mój kum, woźny z gubernji, okrutnie jest markotny i naweć nie chce ze mną gadać przed publiką, bo powiada, że ja go kumprumituje. A wiecie dla czego? Owoś za to, com sobie z faklą poszedł na Ormiańską ulicę i wołał na całe gardło: Naj żyje pan Czerkawski. Powiada mój kum woźny, co to był bunt taj rewolucja.

A jakiś uczonyj furfant, co chodzi także do Naftuły to powiada, co my mieszczany zkumpromitowali całyj naród — i że teraz ministrowie na prawdę się zagniewają. Owoś, ja powiadam, co z nami mieszczanami naj się nie zaczypia nikt, bo jak się zgniewamo, to jeszcze większyj fakelcug zrobimo, ot tak na złość memu kumowi z gubernji, i tym paniczom jenteligentom, co to gębą dużo robią, a boją się jednego policaja.

My oś naweć w maistracie zrobili z pana Czerkawskiego konsyljarza od szkoły — naj świat wie, co i mieszczany mają swój rozum i jak robią politykę — to robią tak, aby się Niemcom markotno robiło. Są i u nas w maistracie takie mudrahele, co wołają, że oni polityki nie potrzebują; ja oś znam tych mudrahelów nie od dziś, i wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Oni by robili politykę, ale taką co z niej do kieszeni czasem kapnie jaki grosz, abo taką politykę, coby awansował jaki ich gagatek. Owoś te mudrahele to najgorszyj naród w maistracie, a powiadają, co i między jenteligentami taj panami takowe polityki się znajdują, i dla tego oś, ja stawiam wniosek, coby tych paniczów nie przypuszczać do niczego, pokąd nie poprzysięgną, co z polityki żyć nie chcą — bo polityka — widzi mi się — to nie grajzleraj. Taj tylko.

Z racji przeniesienia

pana prokuratora do Kołomyi.

Miło brzmi wesoła wieść
Po wszej Galicyi,
Że pan Reiner przeniósł się
Ztąd do Kołomyi.

Za nim, za nim pieśni ma
Za nim wesolutka,
Aż go zgonisz w mieście tem,
Pozdrów go od „*Szczutka*.“

Ze św. Jura.

Wszechwładnym lokajem ks. Metropolity jest *soroka*, a plenipotentem *hołub*. Należy obawiać się, aby ta menażerja nie wystrychnęła świętobliwego męża na *dudka*.

GOGO.

Drżę jak lilja z oburzenia,
Lotem bowiem błyskawicy
Pędzi plotka niesłychana,
Czarna intryga ulicy.

Oto mówią, że ja Gogo,
Tak szykowny i niewinny,
W jakimś dzikim fakelcugu
Osobiście byłem czynny!

Teneatis risum, proszę!
Ja, co w serca mego tece
Chronię hymny lojalności,
Mam wyprawiać nocne hece?

Ja, ozdoba przyszła kraju,
Mam się w śmiesznych burdach ćwiczyć,
I wśród zgraji demagogów
Nieść pochodnie, „Vivat“ krzyczeć?

Ja rozumiem uczcić divę
Skrą pochodni, ogniem rakiet —
Chętnie wtedy dam osmalić
Mój cylinder albo żakiet!

Ale zresztą... oh przenigdy!
Ktoś na honor mój nastaje,
Bo zazdrości widać — czego?
Szyku mego. — Słowo daję!

Korespondencje redakcji.

— **K. w Drohobyczu**. Wasze sodowe budki są wprawdzie kwestją europejską, ale naiwna Europa zajmuje się obecnie drobniejszemi sprawami, — ot zwyczajnie zdziecinniała staruszka. — **Zr. we Lwowie.** Szkoda, że nie wypaliło! — **Om. w Krakowie**. Schowaliśmy na później. — **NN. w Wiedniu**. Zrobimy użytek.

Zwracamy uwagę na dodatek i na inserat „Haliczanina.“

„Nowy namiestnik“, czyli „Jak się dzieci durzy.“

(Komedja ilustrowana.)



AUERSPERG: No, panowie Polacy nie gniewajcie się, macie tu Potockiego za uamiestnika, i czegóż więcej chcecie?

CHÓR DELEGACYJNY: Panie, za dużo łaski, my się nigdy nie gniewali, to panie ministrze wszystko dzienniki narobili. My panie, nigdy się nie gniewali.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Liberat Zajączkowski.
Czcionkami K. Pillera.

Dodatek do Nr. 47. Szczutka.
Sobota dnia 20. Listopada 1875.
!! Nakład 2.000 egzemplarzy !!

ŁAMIGŁÓWKA.

le — ta — ko — rde — ste — lo — li — bem — e — wrat — wor — lyi — e — ger.

Z tych kilku zgłosek powyż rozstawionych,
Złóżcie następnych sześć nazwisk wsławionych:

— Ród słynny książęcy w Włoszech panujący,
I u nas niegdyś w Galicji rządzący.

— Pisarz i historyk francuski, który
Wykłada sławiańskie literatury.

— Pan starożytnego rodu czeskiego,
Były minister rządu austrjackiego.

— Sławny jenerał polski tęga głowa,
Amurat Pasza, a rodem z Tarnowa.

— Książe Litewski, bohater opiewany,
Z arcydzieł naszej literatury znany.

— Poeta madiarski pisarz narodowy,
Zasłużony zbiorem pieśni ludowych.

Teraz te słowa ustawcie w porządku,
By idąc w zygzak w jednym ciągłym wątku,
Tychże początki i naprzemian końce,
Dały Nazwiska jasne jako słońce,
Dwóch mężów równych wiekiem i zasługą,
Prawie równocześnie zmarłych niedługo,
Co w polskiej współczesnej literaturze,
W filozofji i estetyce w górze,
Naczelne stanowisko zajmowali,
Sławę i miłość ziomków pozyskali.

Rozwiązanie zagadki z Nr. 46.

„SŁOWO“.

Kotyljon i Kadryl.

Fotografja bez retuszu.

II.

(Ciąg dalszy.)

Dziś o trzeciej z południa.

Na cmentarzu niejedną łzę stłumił, niejedną ukrył starannie przed okiem ludzi. Sierota, czuł dolę sierocą; niedawno pogrzebał matkę, a ojca dziecięciem będąc opłakał. Nie miał nikogo na świecie — prócz Boga nad sobą i w sobie.

Serce mu się ściskało na widok sierot, a grudki zmarzłej ziemi padając na trumnę muzyka, okropnem echem odbiły mu się w duszy.

W kilka tygodni potem, gdy wracał do domu, panna Helena powracała z lekcji. Panna Helena pośliznęła się na wschodkach przed kamienicą, on przybiegł z pomocą; ona wsparła się na jego ramieniu, on pierwszy raz dobrze się jej przypatrzył. — Przedtem nigdy do siebie słowa nie mówili — dziś poraz pierwszy ona mu powiedziała „dziękuję“ — i spojrzała na niego okiem przyjaźnem, jak na sierotę sierota.

Pan Romuald był tego dnia więcej zamyślony niż zwykle, i długo w noc nie mógł zasnąć. Panna Helena przegrywając po raz trzeci sonetę Bethowena, więcej się teraz myliła, niż za pierwszym razem. Podkręcała lampę, do nut ją przysuwała, a jednak te nuty tak jakoś były dziś niewyraźne, lampa tak źle się świeciła.

Kilka razy przypadkiem się zeszli, a potem tak jakoś pan Romuald przychodził i wychodził z domu, że prawie zawsze spotykał w sieni pannę Helenę, a spotkawszy, kłaniał się, powiedział „dzień dobry“ i biegł do pracy.

Panna Helena z początku nie odwracając oczu, odpowiadała na przywitania, lecz potem jakoś tak się zdarzało, że albo oczy spuściła, albo zapinała rękawiczkę, albo nuty poprawiała w tece.

Raz zachorowała matka Heleny. Było to wieczorem. Romuald wracał do domu, gdy służąca wdowy biegła po lekarza. Domyślił się z pospiechu sługi czegoś niezwykłego, zapytał, a dowiedziawszy się, słudze kazał wrócić, sam popędził po dorożkę, i w kwadrans był lekarz u chorej. Odtąd nie wychodził z domu, stawał we drzwiach mieszkania, nadsłuchiwał, czy zwykłej ciszy nie przerwie jaki niepokój u wdowy, dopytywał się służącej o zdrowie pani. W dwa tygodnie wdowa już wyzdrowiała.

W kilka dni, gdy o tem dowiedział się Romuald, służąca wdowy zapukała do jego drzwi.

— Pani prosi, żeby pan był łaskaw pofatygować się na chwilę.

— Zaraz służę.

Zaczął się przebierać, lecz nie mógł jakoś dać sobie rady z krawatką, i kołnierzyk go cisnął, a rękawiczki pękły od razu, nim jeszcze je włożył; jednak w kwadrans po zaproszeniu był już w mieszkaniu wdowy.

— Chciałam serdecznie podziękować panu za troskliwość sąsiedzką — odezwała się wdowa — a panna Helena skubała rąbek pokrowca na stole przy kanapie.

— Przepraszam, że pana wyrwałam z jego samotności, pan tak unika ludzi, jak mało kto w pańskim wieku — rzekła śród rozmowy matka Heleny.

— Nie unikam, tylko nie szukam. Jestem sierotą bez ojca, bez matki, bez rodziny, więc boleścią wykarmiony, wychowany samotnie, lubię żyć w tym świecie, który sam sobie stworzyłem, który własną przystroiłem myślą.

— I nasze życie sieroce — tęskno dorzuciła wdowa — a panna Helena łzą zamglonem okiem, spostrzegła cisnącą się łzę do oka Romualda.

Pociąg łez ku sobie jest wielki.

Romuald uczuł, że przy Helenie zapomniałby o sieroctwie, Helenie się zdało, że byłaby szczęśliwą, gdyby jej wolno było i gdyby mogła, spędzić smutek z jego czoła, a na twarz mu uśmiech wywołać.

Po swej wizycie, Romuald zaczął odwiedzać wdowę, i czuł się w jej domu, jakby śród własnej rodziny, tyle tam znalazł poczciwej serdeczności.

W kilka miesięcy przyszedł z pożegnaniem, powołanego do budowy kolei żelaznej w Rumunji.

Po ostatnim wieczorze, który spędził u wdowy, marzył długo, do rana. Romuald kochał Helenę — lecz sam sobie nie wierzył. Wiedział o tem, że wyobraźnia często się rozpala, choć zimne serce; rozsądek panował nad nim, a sumienie nakazywało mu policzyć się z samym sobą. Czuł tylko, że tęskno mu bardzo wyjeżdżać, że niespokój go jakiś ogarnia. Przytem nie mając jeszcze zapewnionego losu, nie mógł myśleć o żonie — a jednak, gdyby dziś mu wolno było wybierać, czuł — że tylko taką jak Helenę wybrałby za żonę.

A ona? — Ona nie miała brata i zdało się jej że Romuald bratem jest dla niej. Miala lat 18, lecz nie umiała jeszcze rozumieć mowy serca.

L. 24.760.

OBWIESZCZENIE LICYTACJI.

Z powodu upływu z końcem bieżącego roku kontraktu z aptekarzami lwowskiemi, Wydział krajowy rozpisuje celem zabezpieczenia dostawy lekarstw na r. 1876, począwszy od 1. stycznia tegoż roku, dla szpitalu powszechnego lwowskiego, dla zakładu położnic i zakładu obłąkanych w Kulparkowie, publiczną licytację przez oferty pisemne.

Interesowani zechcą najdalej do **10. grudnia 1875** wnieść opieczętowane i należycie ostemplowane deklaracje zaopatrzone w wadjum w kwocie 200 złr. w gotówce lub w papierach wartościowych do Dyrekcji szpitalu powszechnego we Lwowie, w którym to dniu o godzinie 12. przed południem nastąpi otwarcie ofert.

Oferty pisemne mają zawierać dokładnie literami i cyframi oznaczony opust od taksy rządowej tudzież oświadczenie, że oferentowi znane są warunki licytacji i że do takowych zastosować się obowiązuje.

Bliższe objaśnienia powziąść można w Dep. V. Wydziału krajowego lub też w Dyrekcji szpitalu powszechnego we Lwowie, gdzie też można przejrzeć warunki licytacyjne, na podstawie których spisany zostanie kontrakt.

Z Wydziału krajowego

królestwa Galicji i Lodomerji w raz z W. Ks. Krakowskim.

We Lwowie dnia 2. listopada 1875.

(2—3)

Romuald pojechał. — Mijały tygodnie — miesiące — a czas nie jedno złagodził w pamięci.

Pan Dorębalski po rozmowie z przyjacielem „pod gruszką" wyjawił swe zamiary wdowie, wdowa córce.

Helena kochała matkę nad życie, kochała siostrzyczki i o tej jedynej miłości i córki i siostry dokładne miała pojęcie, bo ta miłość tylko wyraźnie nakreśliła się w jej duszy.

Pana Cypryjana szanowała jak ojca, pan Romuald tkwił jej w sercu, jak brat.

Gdy pomyślała o wyjściu za mąż za poczciwego staruszka, serce jej szeptało tęsknotą większą, niż zwykle, za bratem.

A staruszek taki był serdeczny, a taki dobry dla matki i siostrzyczek!

Współczucie i wdzięczność, wiodą do miłości. Wdzięczność była silniejszą — i jeżeli nie do miłości, to do przywiązania, do szacunku, zawiodła Helenę.

W karnawał miało nastąpić wesele panny Malwiny z panem Teobaldem — a po wydaniu córki zamąż, miał się pan Dorębalski z Heleną ożenić.

Nadszedł karnawał. „Na Strzelnicy" zapowiedziano bal towarzystwa muzycznego. Pan Dorębalski poszedł z córką i jej narzeczonym panem Teobaldem, i namówił matkę Heleny, by córkę po raz pierwszy na bal zaprowadziła.

Bal! ileż to młodych serc zadrga na dźwięk tego wyrazu, ileż wspomnień przemknie się przez głowę — a ileż smutków zakipi w duszy, rozbudzonych wspomnieniem?! Bal! owa walka strojów, spojrzeń, ruchów; publiczna a niewidzialna wymiana zwierzeń, uścisków; arena — po której ścigają się nadzieje matek, westchnienia panien, szał mężczyzn.

Skończył się polones. Kapelmistrz na galerji oglądnął się na orkiestrę i już podnosił pałeczkę, by podać takt powiewnego walca. W mniejszej sali na prawo siedziała Helena z matką; obok pan Dorębalski z córką i Teobaldem. Ku Helenie przecisnął się brunet.

— Przepraszam, że na tem miejscu przypominam się pamięci pań, — rzekł witając się z matką i córką.

— Pan Romuald! — zawołała wesoło Helena i oko jej żywą zajaśniało uciechą.

— Ach, to pan! — zawołała równocześnie matka z nietajoną radością.

— Przed trzema godzinami przybyłem do Lwowa, a dowiedziawszy się, że panie na balu, przyszedłem, by z powitaniem nie czekać do jutra.

— Powitać kochanego pana! — odezwał się pan Dorębalski i nie bacząc na salę balową, uścisnął Romualda.

Romuald ukłonił się Malwinie i dość obojętnie przywitał Teobalda.

— Czy pani ma jeszcze do dyspozycji, który z tańców? — zapytał Helenę.

— Drugi kadryl tylko, odpowiedziała.

— Mogę o niego prosić?

— Zanotuję.

— Pan ma parę, vis-a-vis? — spytał Teobalda.

— Tańczę z panną Malwiną, o vis-a-vis proszę pana, — odpowiedział Teobald.

— Służę.

Walec już na dobre się rozpoczął. Romuald podał rękę Helenie, — zniknęli w wirze tańczących. Malwina daremnie

*

oglądała się na wszystkie strony, nikt się nie zbliżał — podała rękę Teobaldowi — niechętnie

. . . .

Dwadzieścia par stanęło w kolumnie, dwadzieścia naprzeciw. Z samego kraju stał Romuald z Heleną, Teobald naprzeciw zapatrzony w Malwinę, mylił się w figurach; Romuald mógł rozmawiać swobodnie.

— Przed rokiem, gdy panią żegnałem, nie spodziewałem się, że wesołe będzie dla mnie przywitanie.

— Gdybyś pan jutro przyjechał, nie byłoby takie.

— Dla mnie może jeszcze weselsze, bo swobodniejsze.

— Sądziłam, że tylko bal mógł pana rozweselić.

— Na balu można być i smutnym, bardzo smutnym; ja wesołość przyniosłem z sobą.

— Szczerze się cieszę ze zmiany pańskiego usposobienia.

— Usposobienie moje nie może być inne, wszak to rok cały żyłem tylko wspomnieniem... Lwowa, a dziś...

— Dziś?

— Dziś mam przyjemność rozmawiać z panią.

Skończono pierwszą figurę.

— Jakże się panu powodziło?

— O dziękuję pani. Lepiej niż marzyłem.

— Mama tak często wspominała pana.

— Czy tylko mama?

— Wspominałyśmy obie. Pan wie, jak wdzięczną mu byłam za troskliwość okazaną mamie, gdy była chorą...

— Do wdzięczności nie mam najmniejszego prawa, bo czyniłem to, co uczyniłby każdy na mojem miejscu.

— Sobie odmawiając prawa, nie należy drugim odmawiać obowiązku.

— Nie mogę go uznać, gdy nie widzę do niego powodu.

— Nie zgodzimy się; pan jesteś nieco uparty, a ja nie mogę ustąpić.

— Podam plan do zgody.

— Jaki?

— Przyznam sobie jedną zasługę.

— Jakąż?

— Zasłużyłem tylko...

— Na burę, za niepoprawny upór.

— Nie, pani; na pamięć.

— Gdzie jest wdzięczność i pamięć być musi.

— Wolę pamięć w innem towarzystwie.

— W jakiem?

— Mniej poważnem, a więcej... przyjaźnem.

— Wdzięczność nie wyklucza przyjaźni.

— Ale ją oziębia.

Orkiestra trzecią zagrała figurę.

— Miałeś pan powiedzieć o swem powodzeniu...

— Opowiem krótko: wyjechałem z życiem bez jutra, wracam z zapewnioną przyszłością.

— Jakżeż się mama ucieszy!

— Znowu toż samo pytanie.

— Bo ten sam frazes.

— Zupełnie naturalny.

— Zbyt etykietalny.

— Przeciwnie; najszczerszy, — mama jeszcze nie wie o tem, a mnie pan już powiedziałeś.

— Przepraszam panią, — przyznaję się do winy — lecz proszę o przebaczenie: tęsknota i radość bywają kapryśne.
— Pan tęskniłeś za Lwowem?
— Pani o to się pyta?
— Bo nie wiem.
— Czy wolno w to nie wierzyć?
— Pan nie odpowiadasz na pytanie?
— Odpowiem pytaniem:
— Jakiem?
— Czy serce pani nigdy nic nie powiedziało?
Helena nie mogła odpowiedzieć na pytanie, bo *tour de mains* przerwało rozmowę.
Romuald zamyślił się i jakoś zgasł mu humor w duszy, bał się odpowiedzi Heleny — i pragnął jej; skończono trzecią figurę i czwartą przetańczono w milczeniu. — W piątej mało do rozmowy było sposobności, wreszcie szóstą zagrano.
— Winna mi pani odpowiedź.
— Nie pamiętam pytania.
— Czy pani wszystko zapomina tak prędko?
— Co godne pamięci, samo w niej pozostaje.
— A moje pytanie?
— Należy do rozmów miłych, któremi grzeczność nakazuje panom nas bawić.
— Czy pani tylko grzeczność dla siebie we mnie zobaczyła?
— Grzeczność tem milszą dla mnie, że pochodzi od dobrego sąsiada i przyjaciela domowego.
— Pani jesteś bez litości.
— Pan jej nie potrzebujesz.
— Więcej niż ktokolwiek w tej chwili.
— Z jakiego powodu?
— Bo roiłem najmilsze nadzieje, bo droga do Lwowa stroiła mi się w słoneczne blaski, bo zdało mi się, że przedemną płynie gwiazda szczęścia — która me życie opromieni całe.
— A czy pan się zawiodłeś?
— Niech pani sobie sama odpowie na swoje pytanie.
— Cyż mogę? czyż mam prawo do tego?
— Nie tylko prawo, ale i obowiązek.
— Jesteś pan niesprawiedliwy.
— Dla czego?
— Bo przypisujesz winę innym, gdy sam jesteś winien.
— Czem zawiniłem?
— Spóźnieniem.
— Lepiej późno, jak nigdy.
— Panie Romualdzie, lepiej: n i g d y, j a k p ó ź n o.
— Nie rozumiem.
— Można zranić, nie dając nadziei zagojenia rany?
— Poświęceniem całego życia zagoić ją łatwo.
— Bywają poświęcenia, których nawet za ranę serdeczną przyjmować nie wolno.
— Czy pani do mnie to stosuje?
— Do siebie.
— Zagadka, której rozwiązania się lękam.
— Więc go pan nie żądaj.
— Lepsza rozpacz, niż niepewność.
— Na rozpacz — lekarstwem siła męzka.
— Mężczyzna rozpaczając, mężczyzną być przestaje.
— Łatwo rozprawiać obojętnie o tem, czego się nie czuje.
— Zkądże ta pewność?

L. 25716.

Obwieszczenie.

Celem zabezpieczenia dostawy 600 metrów sześciennych kamienia tłuczonego na pierwszych sześciu kilometrach drogi Lwowsko-Rohatyńskiej w cenie fiskalnej 2358 złr. w. a. odbędzie się na dniu 30. Listopada r. 1875 publiczna licytacja w Dep. IV. Wydziału krajowego, gdzie także o warunkach licytacyjnych można powziąść wiadomość.

Z Wydziału krajowego.

(1–1)

We Lwowie dnia 16. Listopada 1875.

— Ze słów pani.
— Źle zrozumianych. Czegóż pan żądasz jeszcze?
— Wyjaśnienia.
— Są chwile w życiu ludzkiem, w których dar mowy, staje się ciężarem.
— Jeżeli mówić się wstydzimy.
— Nie panie Romualdzie; jeżeli ranieni sami, nie chcemy rany, za ranę zadawać.
— To dowód dobrego serca.
— I wychowania.
— Pani zapiera się pierwszego?
— Kocham matkę nad życie i siostry moje.
— To pani wystarcza?
— Wystarczyć musi.
— A gdybym ja kiedyś prosił o serce?
— Masz je pan dzisiaj.
— Serce?.... pani?....
— Serce..... siostry....
— Tylko?
— Innem być nie może..... nigdy!
— Nigdy?!
— Jestem.... narzeczoną.
— Pani?! bez miłości?!
— Z przywiązania!
Kapelmistrz szybciej poruszał pałeczką, finał się rozgrywał.
— A place — powiedział przewodnik tańców. Kadryl się skończył.
Helenę pan Dorębalski odprowadził na miejsce. — Romuald stał nieruchomy, przy kolumnie — zapatrzony w dal bez myśli.

Teobald rozpromieniony szczęściem, odprowadził Malwinę, bo kilkakrotnie zapewniała go w tańcu o swojej dla niego miłości.

. . . .

Nadeszła godzina pauzy. Mężczyźni tłumnie zeszli na dół do bufetu. Przy małym stoliku, zupełnie na uboczu siadł Romuald.
— Dwie butelki szampana! — krzyknął na garsona.
— Ile kieliszków? — zapytał garson.
— Jeden! — krzyknął Romuald.
Za nim pół godzina minęła, zabrał garson trzy wypróżnione butelki ze stołu Romualda.
Bywają chwile w życiu człowieka tak mętne, tak dziwnie potężne w siłę zewnętrzną, że łamie się w obec nich rozum, uciekają przed niemi owe anioły stróże; hart ducha i ambicja, a takie one gwałtowne, że nim się człowiek przeciw nim uzbroił do walki, już go zgniotły jak węże Laokona.
Tak zgniecionym był Romuald, gdy wszedł do bufetu. Czuł boleść okropną, straszną; rozkołysany podróżą, przybyciem, balem, marzeniem i rzeczywistością, poszarpany był na duchu w kawały.
Przepędził godzinę w bufecie; a gdy wyszedł — zdało mu się, że wichry rozsadzą mu głowę, że uragan serce na pyłek rozmiecie.
W wesołem gronie mężczyzn siedział Teobald; spełniano toasty jeden za drugim, a Teobald nie uchylał się od nich, owszem poddawał nowe, zamawiał wino. Wesół był nad miarę. Malwina go zapewniła o swojej miłości, a jej miłość: to trzy kamienice. A conto posagu — jeszcze jedna butelka, jeszcze jeden toast! —

. . . .

„Cotillon! Rondo!

L. W. 25.929.

OBWIESZCZENIE.

W dniu 6. Grudnia 1875 odbędzie w Wydziale Rady powiatowej w Złoczowie licytacja na podstawie ofert pisemnych, celem zabezpieczenia robót ziemnych na drodze krajowej Krasne-Busk, a mianowicie:

około 16.100 metr. sześć. wykopu z nasypem po 40 ctów . . . 6.440 zlr. — ct.
„ 5.925 metr. bież. koryta na pokład drogowy po 15 ct. 888 „ 75 „
„ 11.000 metr. kwadr. darniowania kożuchowego po 10 ct. . . . . . 1.100 „ — „
„ 700 sąż. sześć. darniowania murowego po 94 ct. . . 658 „ — „
Razem w cenie fiskalnej 9.086 złr. 75 ct.

Roboty powyższe mają być uskutecznione w zupełności do dnia 1. lipca 1876.
Do ofert ma być dołączone wadjum 10% ceny fiskalnej wynoszące.
Oferty wniesione być mają w dniu wyżej oznaczonym najpóźniej do godziny 12tej w południe, do Wydziału powiatowego w Złoczowie, lub bezpośrednio do Wydziału krajowego we Lwowie, na dzień jeden wcześniej przed powyżej oznaczonym terminem.
Bliższe warunki robót przejrzane być mogą w godzinach urzędowych w biurze Wydziału powiatowego Złoczowskiego lub Departamencie IV. Wydziału krajowego.

Z Wydziału krajowego.

We Lwowie dnia 12. Listopada 1875.

(1—1)

C. k. uprz. gal. kolej Karola Ludwika.



do L. 7488/75.

OBWIESZCZENIE.

Od dnia 15. Listopada 1875 r. zaprowadza się nowa taryfa specjalna dla przesyłek **śledzi** w ilościach po 5.000 kilogr. i wyżej w związku kolejowym Bremsko- względnie: Hamburgsko-Galicyjsko-Rumuńskim.

Pomieniona taryfa specjalna zawartą jest w drugim dodatku do regulaminu i taryfy dla wyżwymienionego związku, który to dodatek wydaje się bezpłatnie w własnych stacjach związkowych dalej naszych ekonomatach i oddziałach komercjalnych we Lwowie i w Wiedniu.

Lwów w Listopadzie 1875 r.

Dyrekcja Ruchu.

(1—1)

Stanęły, kilka taktów — i rozłamały się pary z łańcucha. Wir — szelest sukień, mienią się barwy, to rój motyli różnobarwny, powiewny, lekki — to jakby wichrem skręcony w kłębek, to rozsypany, jakby się wdzięczył do słońca.

— „Panie wybierają.“

Malwina szukała Romualda, Romuald szukał Malwiny. Znaleźli się.

Malwina podała mu rękę.

— „Cotillon.“

Szalony taniec pędził, jak chmura gradowa.

Malwina rozgrzana tańcem, oddychała płomieniem; płomień ten palił usta Romualda. Pierś jej podnosiła się — gorąca, pełna, a w oku kipiał żar, którym na Romualda ciskała. Lewa jej ręka kurczowo prawie trzymała się ramienia dansera, a splotami włosów dotykała jego czoło. Romuald jak uragan pędził — a piekło wrzało mu w łonie, i o wszystkiem zapomniał, wszystko go odbiegło, duch go opuścił — krew mu została tylko — rozkipiała, wrząca, szalona.

— Gdyby umrzeć w tańcu! wycedził Bomuald.

— Umrzeć? — gdy jeszcze się nie żyło, — jakby z wyrzutem odpowiedziała Malwina i ogień jej oczu spotężniał, pierś falę wezbrała.

— Życie bywa śmiercią, a w śmierci spodziewamy się życia.

— Gdy nie umiemy szukać powabów świata.

— Lub gdyśmy je stracili.

— Tak wcześnie?

— Zapewne; lepiej było później.

— Pan bardzo roztargniony.

— Tylko zachwycony.

— A roztargnienie?

— Pochodzi z zachwycenia.

— I prawisz pan o śmierci?

— Już powiedziałem.

— Nie rozumiem.

— Czy pani wie, co ból serca?

— Nie byłam zdradzoną?

— Szczęśliwa!

— Ostrożna.

— „Rondo. A place. Dwanaście par: Cotillon“.

Romuald i Malwina byli w trzynastej, usiedli. Przybiegł Teobald.

— Pani zapomniałaś, żeś mi przyrzekła Cotillona?

— Być może.

— Z pewnością.

— Czy pana to gniewa?

— Dziwię się temu bardzo.

— Bez powodu.

— Jak to?

— Pan Sroczyński nie zna nikogo, chciałam być grzeczną,

— Może teraz przynajmniej będę tyle szczęśliwym?

— Przyrzekłam panu Sroczyńskiemu tańczyć z nim do końca.

— Niezaszkodziłoby cokolwiek rozmaitości, jeden danser znudzić może.

— Dla rozmaitości tańczę z panem Romualdem, a tylko natrętni nudzą.

— Jak to mam rozumieć?

— Jak się panu podoba.

— Wojna?

— Nie widzę przeciwnika! (Dok. nast.)

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Liberat Zajączkowski. Czcionkami K. Pillera.